

CARIAN COLE

Nie mogę cię
zapomnieć

Kolejne dni #1

Kiedy go poznała, był ulicznym muzykiem.
Czternaście lat później stał się słynnym rockmanem.
Czy będzie pamiętał, że obiecał jej wszystkie swoje kolejne dni?



Tytuł oryginału

No Tomorrow

Copyright © 2018 by Carian Cole

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Przemysław Gumiński

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Karolina Piekarska

Dominika Kalisz-Sosnowska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-600-4

CARIAN COLE

**NIE MOGĘ CIĘ
ZAPOMNIEĆ**

KOLEJNE DNI #1

TŁUMACZENIE
KRZYSZTOF JARZĄBEK

OŚWIĘCIM 2023

Dla Sherry...

Podczas czytania tej książki wysłałaś mi taką wiadomość:
„Kocham Cię jako Przyjaciółkę i wielbię jako Pisarkę!”

Chciałabym powiedzieć, że kocham Cię jako Przyjaciółkę i wielbię jako Czytelniczkę. Byłaś dla mnie kimś więcej niż tylko Przyjaciółką i Beta-czytelniczką. Byłaś moją liną ratunkową na wiele sposobów. Nie sędzę, abyś kiedykolwiek zdawała sobie sprawę, jak wiele znaczy dla mnie Twoja przyjaźń i Twoje wsparcie. Kocham Cię, moja Przyjaciółko. Bez Ciebie jestem zagubiona. Będę o Tobie myśleć przy każdym napisanym słowie i nigdy Cię nie zapomnę.

NOTA OD AUTORKI

Ta książka porusza pewne wrażliwe tematy takie jak depresja, choroby psychiczne i zażywanie narkotyków. Jeśli te zagadnienia są dla Ciebie zbyt wrażliwe, z góry przepraszam i radzę czytać ostrożnie.

Dziękuję za lekturę i wsparcie!

Bądź uprzejmy dla innych Czytelników i proszę o recenzję bez spoilerów!

ROZDZIAŁ 1

1998 – Piper

Menu przepływa przez moje biurko i przewraca uchwyt na spinacze.

– Ziemia do Piper Karel – mówi moja współpracowniczka Melissa, ignorując zniszczenia, które właśnie wyrządziła. – Jak interesująca może być praca w recepcji? Trzy razy cię wołałam! Niedługo zamawiam lunch i idę go odebrać. Chcesz coś?

Jest dziesiąta trzydzieści i nadal popijam herbatę, którą zrobiłam wcześniej rano. Jestem tak bardzo zavalona sortowaniem mojej skrzynki z dokumentami, że nawet nie mam chwili, by dotknąć mojego batonika musli, nie mówiąc już o zjedzeniu lunchu. Zastanawiam się, co takiego dzieje się w skrzynce Melissy, że lunch mimo wszystko jest jej priorytetem.

Oddaję jej menu z kraciatą okładką i wkładam spinacze z powrotem do małego, prostokątnego, magnetycznego domku.

– Nie, dziękuję. Nic nie chcę.

– Może gdybyś raz na jakiś czas zjadła lunch, to nie byłabyś taką nudziarą, Piper.

– Jem lunch, Melissa. Po prostu lubię posilić się na świeżym powietrzu, w parku, zamiast codziennie siedzieć w tym biurze przez dziewięć godzin bez przerwy.

– I omija cię cała zabawa, gdy wychodzisz. Wszystkie ciekawe rzeczy w tym miejscu dzieją się właśnie w jadalni.

Ach, no tak. Biurowe ploteczki. Właśnie w zeszłym tygodniu przegapiłam jakiś dramat. Przynajmniej mogę zagwarantować, że jeśli kiedykolwiek ubiegałabym się o awans, to nie pogratu-

lowałabym mojej konkurentce, wyrzucając swoją sałatkę na jej kolana.

– Po prostu czasem lubię mieć trochę spokoju i czasu tylko dla siebie – odpowiadam.

– Dobrze, no to delektuj się swoim spokojnym lunchem. Sama. Jak zwykle. – Odrzuca włosy i odchodzi obrażona z menu pod pachą.

Mając dwadzieścia jeden lat, jestem najmłodszą osobą w biurze. Pracuję w małej firmie zajmującej się projektowaniem mody. Nasza linia odzieży sportowej jest naprawdę popularna w całym kraju. Dwa sezony temu współpracowaliśmy z projektantem celebrytów nad parą spodni do jogi, które rozslawiły przedsiębiorstwo. Zaczęłam pracować tutaj jako recepcjonistka i asystentka biura na pół etatu już w ostatniej klasie szkoły średniej, dzięki czemu po jej ukończeniu zostałam zatrudniona na pełny etat. Odbieranie telefonów i pisanie maili nie jest do końca moim pomysłem na karierę, ale wystarcza na przeżycie. Firma stale się rozwija i zawsze są wakaty na nowe stanowiska. Czekam tylko na to właściwe, które mnie zainteresuje. Mam nadzieję, że będzie to w dziale marketingu lub rozwoju produktu. Na razie cieszę się, że mogę dowiedzieć się jak najwięcej o samych produktach i firmie.

Kiedy przyjąłam tę pracę, miałam nadzieję, że będzie to dla mnie nowy początek, w całym tego słowa znaczeniu. Cieszyłam się, że będę mogła przebywać wśród ludzi, którzy nie wiedzieli, jak bardzo byłam zawsze niezdarna. Myślałam, że zdobędę nowych przyjaciół.

Byłam dziewczyną, która zwymiotowała w pierwszy dzień podstawówki i która potknęła się w czarnych czółenkach i mini spódniczce w pierwszym dniu szkoły średniej. Upadłam z rozłożonymi nogami jak sarenka i błysnęłam majtkami z małymi kotkami przed połową szkoły. Nigdy nie zapomnieli o moich wymiotach, a już na pewno nie o tym, że miałam majtki w kot-

ki. Chłopcy mruczeli i miauczeli w mojej obecności miesiącami, a dziewczyny nazywały mnie Bełcik.

Zabawne czasy...

Pokładałam wielkie nadzieje w wejściu do świata pracy, w prawdziwą atmosferę kariery zawodowej. Nie spodziewałam się, że będę otoczona przez żonatych mężczyzn, którzy flirtują ze wszystkimi kobietami, albo zestresowanych i uzależnionych od kawy, którzy wrzeszczą na swoje arkusze kalkulacyjne. Są tutaj też kobiety, które plotkują i wywołują dramaty, jakby im za to płacono.

Witamy w dorosłym życiu!

A już na pewno nie spodziewałam się, że Melissa, która ukończyła szkołę średnią rok przede mną, zacznie tu pracować kilka miesięcy wcześniej. Była jedną z tych elitarnych i popularnych dziewczyn w szkole. Miała najładniejsze ubrania, najładniejszy samochód, przyjaciół, którzy chłonęli każde jej słowo i wszystkich najbardziej atrakcyjnych chłopaków pragnących dobrać się do jej tyłka. Moja nieporadność i przypadkowe wpadki były dla niej wtedy dobrym źródłem rozrywki. Teraz jest dużo bardziej subtelna w wyśmiewaniu mnie, ale nadal jest tak samo irytująca.

Tuż przed południem robię dwa kroki na dziedzińcu biurowca, gdy nagle coś rozbija się o bok mojej głowy. Twarde, delikatne i trzepoczące. Sięgam w górę i dotykam bolącego miejsca nad skronią. Mały niebieski ptaszek chaotycznie macha skrzydełkami na ziemi obok moich stóp, a następnie odlatuje na pobliskie drzewo.

Co do cholery? Mrużę oczy przez tępy ból skroni, zastanawiając się, co się właśnie wydarzyło. W tym samym momencie po mojej prawej ktoś wybucha śmiechem. Melissa i kobieta z księgowości palą i patrząc na mnie, kręcą głowami. Jestem całkiem pewna, że usłyszałam „ptasi mózdzek” rzucone w moim kierunku.

Otrząsając się z zażenowania, wyciągam z torebki niewielkie lusterko. Cichy park znajduje się zaledwie kilka przecznic dalej,

ale chcę się upewnić, że nie mam na głowie rozcięcia, które tylko przedłużyłoby moje upokorzenie. Miejsce uderzenia, zakładam, że dziobem, boli, ale po oględzinach nie dostrzegam krwi, jedynie słabe zaczerwienienie i małe niebieskie piórko przyklejone do mojego czoła.

– Szalony ptak... – mruczę, ścierając ślady po tym wydarzeniu.

Rozlega się klakson i podskakuję, upuszczając lusterko, które rozbija się u moich stóp.

Cholera.

– Uważaj, idiotko! – krzyczy kierowca.

Serce mi skacze, gdy zdaję sobie sprawę, że nieświadomie weszłam na przejście dla pieszych na ruchliwej jezdni. Kobieta gwałtownie skręca bordowym sedanem obok mnie i kawałków rozbitego lusterka, a ja pędzę na drugą stronę ulicy, bezgłośnie przepraszając.

Cholerne poniedziałki.

Jeśli czarny kot przekroczy mi drogę, kończę na dzisiaj i wracam do domu, aby ukryć się pod moją bezpieczną, puszystą kołdrą.

Kiedy zbliżam się do ławki w parku, którą zajmowałam w porze lunchu przez ostatnie trzy miesiące, w powietrzu czuję coś innego, czego nie potrafię określić. Zwykłe odgłosy śmiechu dzieci i szelestu liści wydają się wyciszone, jakby zanikały w tle. Intryguje mnie coś, czego jeszcze tutaj nie słyszałam, czyli delikatna muzyka akustyczna. Zachęcająca melodia staje się głośniejsza z każdym krokiem. Źródło znajduje się niedaleko ławki, którą od jakiegoś czasu uważam za swoją. Ze zdziwieniem zauważam, że melodia nie pochodzi z radia, jak pomyślałam w pierwszej chwili, ale z gitary, na której gra siedzący na ziemi dwudziestoparoletni facet. Opiera się o niski, ozdobny, ceglany murek. Obok niego siedzi mały, brązowy pies z oklapniętymi uszami ubrany w czarną bandanę.

Gdy przechodzę obok niego, by zająć miejsce na swojej ławce, zauważam, że prawie każdy widoczny centymetr jego ciała,

z wyjątkiem twarzy, pokryty jest tatuażami. Z dziur w jego wytartych džinsach wyłaniają się czarne plemienne wzory. Jego ramiona pokrywają twarze, kwiaty i chmury, a na wierzchach rąk i wzdłuż utalentowanych palców rozpraszają się różne wzory. Mam jeden tatuaż na nadgarstku, małą biedronkę siedzącą na liściu. Muszę przyznać, że dziaranie bolało jak cholera. Wbijanie igły w kolana i łokcie musiało doprowadzać do szaleństwa, ale może jest jednym z tych ludzi, którzy lubią ból.

Przyglądam się muzykowi z ciekawością, tak dyskretnie, jak tylko potrafię, i zajmuję się wyjmowaniem mojej kanapki z sałatką z kurczaka z torby na lunch. Nieudolnie walczę z folią, która sklepiła się i trzyma się tak desperacko, jak szalony eks.

Gitarzysta spuszcza głowę, przez co długie, brązowe włosy zasłaniają mu twarz i sięgają za ramiona. Jest głęboko zanurzony w piosence. To senna, hipnotyzująca melodia, która brzmi co najmniej jak kilka gitar, a nie tylko jedna. Nie wiem nic o grze na instrumencie muzycznym, ale mogę powiedzieć, że chłopak jest niesamowicie utalentowany.

Przeżuwam swoją kanapkę, gdy wokół niego tworzy się mały tłum. Gra dalej, nie patrząc w górę. Jediną oznaką tego, że jest świadomy swojej publiczności, jest subtelny ukłon w stronę kogoś, kto wrzuca pieniądze do ustawionego przed nim słoika. Chyba nie musi im dziękować, bo jego pies macha swoją onyksową łapą do każdego darczyńcy. W normalnych warunkach oczekiwałabym, że ludzie poklepią uroczego psa po jego futrzanym łebku za to, że jest tak utalentowany, ale nikt się na to nie decyduje. Pies ma taką samą nietykalaną aurę, co jego towarzysz, jakby na obu była niewidzialna plakietka, która oznacza: *patrz, słuchaj, ciesz się, ale nie dotykaj*.

Jestem zaintrygowana i pewnie żuję z otwartymi ustami, gdy zerkam między dwiema kobietami niosącymi ogromne czarne torby z zakupami. W niewytłumaczalny sposób przyciąga mnie

jego głos i wygląd. Wydaje się wyjątkowy, trudny do opisania, ale na swój sposób atrakcyjny.

Jego melancholijny uśmiech niesie w sobie nutę zmysłowości. Jest jak zaćmienie: jednocześnie ciemny i jasny, a do tego nie można na niego patrzeć zbyt długo bez ryzyka poparzeń.

Marszczę czoło, gdy kobiety z torbami na zakupy wrzucają drobniaki do jego słoika i idą w stronę wyjścia z parku. Wrzucanie drobnych do fontanny jest akceptowalne, ale dawanie reszty człowiekowi? To po prostu wydaje mi się niewłaściwe. Chcę, żeby dawały mu piątki, dziesiątki lub dwudziestki, a nie ćwiartki i dziesięciocentówki. Mimo że wydaje się zupełnie niewzruszony, to w jego imieniu jestem urażona.

Biorąc łyk z butelki z wodą, zsuwam ośmiocentymetrowe czarne obcasy i chowam stopy pod sobą. Wyciągam książkę z ogromnej, skórzanej torebki. Ta godzina podczas lunchu to mój czas na relaks i zatracenie się w historii, którą czytam. Chwila zapomnienia od tego, że wciąż mieszkam z rodzicami i nastoletnią siostrą, która ma lepsze życie towarzyskie niż ja.

O dwunastej pięćdziesiąt z powrotem wkładam swoje buty, pragnąc zostać tu na resztę dnia, by skończyć czytana powieść romantyczną i posłuchać, co artysta zagra w dalszej kolejności. Jego muzyka rozwiązała moją irytację z powodu zderzenia z ptakiem i wrzeszczącego kierowcy.

Niechętnie chwytam torbę z resztką lunchu i wracam do biura, uśmiechając się do niego, gdy przechodzę obok. Gdy zaczyna grać następny utwór, popularną piosenkę rockową, stuka srebrnymi sygnetami o korpus gitary. Nie pamiętam jej tytułu, ale wiem, że zostanie w mojej głowie do końca dnia.

* * *

We wtorkowe popołudnie gitarzysta z tatuażami znów jest w parku. Tym razem gra inny rodzaj muzyki z domieszką hisz-

pańskich rytmów. Jest szybka i chwytliwa – porcja pozytywnego nastawienia pod wiszącymi nad głową ciemnymi chmurami.

Jestem lekko speszona, gdy siadam na swojej ławce. Codziennie przychodzę tutaj, by się zrelaksować, a teraz on wtargnął ze swoim muzycznym otoczeniem i dziwnym magicznym wpływem. Chciałam poddać się dzisiejszemu ponuremu nastrojowi i pogrążyć w smutku z powodu braku słońca, ale jego muzyka, wraz z tanecznym ruchem głowy i obrzydliwie jaskrawą tropikalną bandaną na szyi psa sprawiają, że jest to niemożliwe.

Patrzy w górę i spotyka moje spojrzenie, gdy tradycyjnie przeżuвам kanapkę. Sposób, w jaki się we mnie wpatruje, konkuruje z umiejętnościami mojego kota. Czując się nieco jak zaczarowana i lekko oszołomiona, odrywam wzrok od jego oczu i rzucam mały kawałek chleba niecierpliwemu gołębiowi. Kilka sekund później zerkam ponownie na muzyka i widzę, jak uśmiecha się do mnie, strzepując włosy z twarzy, jakby wiedział, że doprowadził mnie na chwilę do zamroczenia.

Mój żołądek robi małe salto, a ja rzucam ostatnie kawałki chleba gołębiowi. Jeszcze raz spoglądam na gitarzystę, przez co serce przyspiesza mi o kilka uderzeń. Wciąż mnie obserwuje. Puszczą mi oczko i robi najbardziej seksowny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam u mężczyzny, a potem skupia się na swojej gitarze.

Decydując się ukryć swoje zainteresowanie tym, co wygląda na subtelny flirt, wyciągam z torby książkę. Nawet pogoda nie pozwala mi odwrócić uwagi od gitarzysty, ponieważ chwilę przed otwarciem książki pojawia się lekka mżawka. Minimalna ilość wilgoci wystarcza, by moje włosy wyglądały jak po nieudanej trwałej, co nie wygląda najlepiej.

Kiedy deszcz zaczyna padać coraz mocniej, przyciskam swoje rzeczy do ciała, żeby nie zmokły, i biegnę do pobliskiej altanki. Przeklinam siebie, że nie wzięłam dzisiaj żadnego parasola. Mam je wszędzie – około dwudziestu w domu, pięć w biurku i dwa w samochodzie. Niestety nie mam przy sobie ani jedne-

go, kiedy jest mi potrzebny. Gdy jestem już pod dachem altanki, przeczesuję palcami włosy, które są już mokre i zaczynają się kręcić na końcach. Ech...

– Cholera – mówię pod nosem.

Obrys stanika i sutki wyraźnie się odznaczyły przez białą jedwabną bluzkę.

– To tylko mały deszcz. – Głęboki, przydymiony głos zaskakuje mnie i odwracam się, by ujrzyć nie kogo innego, jak faceta z gitarą i jego psa stojących za mną w schronieniu altanki. Zrzuca swój stary, poobijany futerał na gitarę i wysłużoną torbę na drewnianą podłogę, a następnie przeciąga dłońmi po psiej sierści, mówiąc cicho. Nie słyszę, co mówi, ale chciałabym to usłyszeć.

Drżąc, krzyżuję ręce na piersi.

– Jeśli to tylko deszcz, to po co tutaj wszedłeś? Boisz się, że twoje włosy też będą się puszyć? – mówię żartobliwie, ale serce bije mi mocniej, gdy pytania ścigają się w mojej głowie.

Czy on mnie śledzi? Jeśli tak, to dlaczego? Czy on po prostu próbuje uciec przed deszczem? Czy też stałam się łatwym celem dla nie wiadomo kogo, stojąc samotnie w altance?

Wyciera ręce o brudne džinsy i gestem wskazuje na psa.

– Nie lubi być mokry – mówi ścisłym głosem, jakby zdradzał mi sekret.

Mój instynkt przetrwania rozluźnia się, gdy zauważam, jak bardzo troszczy się o swojego kompana. Facet wydaje się nieszkodliwy, ale mimo wszystko grzecznie uśmiecham się i odsuwam od niego, zerkając na zegarek. Mój czas na lunch już prawie się skończył.

Mój rozmówca patrzy w niebo.

– Przystanie za kilka minut. To tylko szybki prysznic dla ziemi.

W odpowiedzi kiwam głową. Moją uwagę przykuwa kolczyk w jego uchu. Małe, niebieskie piórko wisi na srebrnym haczyku i przylega do pasma jego długich brązowych włosów. Efekt jest bardzo rockowy i przypomina mi o ptaku, który wczoraj

uderzył mnie w głowę i zostawił swoje małe puchate piórko na moim czole. Zastanawiam się, czy było to jakieś proroctwo, czy może znak.

– Pracujesz w pobliżu? Czy może chodzisz na uczelnię? – pyta.

– Pracuję w biurze kilka przecznic w tamtą stronę. – Wskazuję na prawo, mimo że moje biuro jest po lewej stronie. – A ty czym się zajmujesz?

Przechyla głowę.

– Widziałas moją pracę.

– Więc ty...?

Ze skinieniem głowy wyciąga z kieszeni koszuli zgniecioną paczkę papierosów i wyjmuje jednego ustami. Odkłada paczkę na miejsce i wyciąga czarną zapalniczkę z przedniej kieszeni dżinsów.

– Tak, pracuję i mieszkam tutaj. – Przekrzywia swoją pokrytą tuszem dłoń wokół papierosa, chroniąc płomień przed wiatrem, i zapala go.

Och, nigdy nie rozmawiałam z bezdomnym. Widywałam ich w pobliżu? Tak. Rozmawiałam z jakimś? Nie.

Kolejny dreszcz przeszywa moje plecy. Krzyżując mocniej ramiona wokół tułowia, opieram się o barierkę, przyciskając torebkę, żeby nie mógł jej chwycić. Pewnie potrzebuje pieniędzy na jedzenie albo może być ćpunem potrzebującym działki. Chrzanić deszcz i puszące się włosy, powinnam teraz uciekać, zanim...

– To jedno z najładniejszych miast, w jakich byłem. – Jego głos przerywa moje pędzące myśli. – Ludzie są życzliwi. Nie traktują mnie jak śmiecia. – Wydycha chmurę dymu i gasi na wpół wypalonego papierosa na podeszwie swojego skózanego buta. Czekam, aż rzuci niedopałek na trawę, ale zamiast tego chowa go do kieszeni.

W moim gardle tworzy się kulka poczucia winy. Rozluźniam ramiona i podnoszę wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Nie widzę w nich ani zagrożenia, ani manii. Widzę błękit – niczym kolor

nieba na chwilę przed zmierzchem. Subtelne przejście, które przenika dwie pory dnia. Być może jego oczy są bardzo wymowne, a on sam również znajduje się w pewnego rodzaju okresie przejściowym, przechodząc z jednej fazy życia w drugą.

Obserwujemy padający deszcz, czekając z nadzieją, aż przestanie, ale tak naprawdę nie chcę, żeby tak się stało. Jest łagodny, uspokajający i przynosi ze sobą ciszę. Park jest pusty, nie licząc tego bezdomnego faceta z niesamowitymi oczami, jego psa i mnie. Kiedy przestaje padać, mam już piętnastominutowe spóźnienie w pracy, ale niespecjalnie śpieszy mi się z powrotem. Jakoś przebywanie z cichym nieznanym jest zaskakująco odprężające.

Wychodzimy razem z altanki, a pies podąża za nami chodnikiem, który prowadzi z powrotem do mojej ławki, jego sceny gitarowej i zardzewiałej bramy z kutego żelaza.

– Nie ma nic bardziej pełnego nadziei i piękniejszego niż tęcza na szarym niebie – mówi, gdy idziemy w stronę mojej ławki.

Marszczę brwi i czekam, aby wyjaśnił, co ma na myśli. Zajmuje miejsce pod ceglanym murkiem naprzeciwko mojej ławki. Siada na mokrej ziemi i zastanawiam się, czy deszczówka przesiąkająca przez jego džinsy będzie mu przeszkadzać, czy po prostu nie przejmuje się takimi rzeczami jak wilgotne ubrania. Kiedy nie mówi nic więcej, rzucam mu ostatnie spojrzenie i bez pożegnania kieruję się z powrotem w stronę swojego biura. Gdy przechodzę przez bramę i czekam, aby przejść przez ruchliwą ulicę, dostrzegam ją – tęczę układającą się w łuk na pochmurnym niebie. Miał rację. Jest piękna i daje nadzieję.